TATERNIK

ORGAN SEKCYI TURYSTYCZNEJ TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO

ROK VI. 1912.

REDAKTOR: Dr ZYGMUNT KLEMENSIEWICZ.

LWÓW 1912.
Nakład i własność Sekcyi Turystycznej Towarzystwa Tatrzańskiego
DRUKARNIA W. A. SZYJKOWSKIEGO WE LWOWIE.



TATERNIK.

Rok VI. Lwów, 15 kwietnia 1912. Nr. 1.

Dr. GYULA KOMARNICKI.

Północna ściana Małego Jaworowego.

Żywo tkwi jeszcze w pamięci wszystkich taterników smutne wspomnienie strasznego nieszczęścia, które dokonało się latem 1910 roku w północnej ścianie Małego Jaworowego Szczytu.

Nie mam zamiaru rozwodzenia się tutaj szerzej nad tą wstrząsającą katastrofą. Wszak wiemy wszyscy w jaki sposób padł ofiarą wypadku Stanisław Szulakiewicz przy próbie przejścia niezdobytej jeszcze wówczas ściany, 5 sierpnia 1910, i jak podczas natychmiast podjętych usiłowań niesienia mu pomocy, postradał w ścianie życie wśród burzy śnieżnej znakomity przewodnik tatrzański Klimek Bachleda.

Epilogiem tego żałosnego wypadku był dzień, w którym i ja błąkałem się wśród skalistych załomów złowrogiej tej ściany. Przedsięwzięcie moje było w ścisłym związku z wypadkami poprzedzającymi katastrofę; ona to, zamiast być dla mnie surowem napomnieniem i rękę mą od skał odpychać, była właśnie przyczyną, która mię spowodowała do podjęcia walki z nieznanemi niebezpieczeństwami tego skalnego muru.

Opowiem pokrótce, jak się to stało.

W końcu lipca owego lata spędziłem kilka dni w Zakopanem, gdzie — między innymi — spotkałem się parokrotnie ze słuchaczem politechniki Stanisławem Szulakiewiczem. Taternickim zwyczajem rozmawialiśmy

wiele o Tatrach, o przeżytych zdarzeniach, o zamiarach na przyszłość, o wspaniałej potędze gór, o pięknościach i trudnościach niektórych wypraw. Mój nowy znajomy wypytywał się o parę znanych mi wycieczek, wszelako zdawała się go szczególnie zajmować północna ściana Małego Jaworowego. W lecie 1908 schodziłem północno-wschodnią krawędzią tego szczytu w Dolinę Jaworową, miałem więc sposobność zajrzeć z bardzo bliska w głąb owej ściany. Szulakiewicz wypytywał mię zatem, czy uważam ścianę za możliwą do przejścia; ja jednak o wiele za słabo ją pamiętałem, bym mógł dać o niej ścisłe wiadomości; wszelako dlaczegóż miałbym był na pytanie odpowiedzieć n i e? Czyż istnieją dziś jeszcze w górach rzeczy niemożliwe do pokonania i czyż miałem powody uważać Mały Jaworowy za wyjątek?

— — — — — — — — — —

W kilka dni później — tymczasem jużem był Zakopane opuścił — dowiedziałem się o nieszczęściu, które się wydarzyło na Małym Jaworowym.

Natychmiast, z pośpiechem udałem się do Jaworzyny Spiskiej, skąd wyruszały wyprawy ratunkowe. Nuż udałoby się jeszcze przyjść z pomocą. Niestety, było już zapóźno.

— — — — — — — — — —

Smutne, nader smutne chwile przyszło mi spędzić dnia następnego w Dolinie Jaworowej. Obozowaliśmy tam u stóp potężnych ścian Małego Jaworowego, których części zaledwie ukazywały się chwilami to tu, to tam, przez otwory leniwie się wlokących, deszczowych chmur. Cisza śmiertelna zawisła nad tym popielato-szarym, zamarłym światem. Niekiedy tylko dolatywał naszych uszu niewyraźny szmer z góry. Tam się zmagali ze ścianą śmiali ratownicy, w nadludzkim prawie trudzie znoszący ze skał zewłok nieszczęśliwego młodego zapaleńca.

W tym czasie nieustannie wracały mi na pamięć wypadki dni ostatnich. I oto ocknęła się naraz we mnie, jako oskarżenie przed samym sobą, myśl, czy i na mnie przypadkiem nie spada odpowiedzialność za to nieszczęście? Czy zaginiony nie porwał się na ścianę opierając się na moich wyjaśnieniach? Musiałem sobie zadać pytanie, czy go nie popchnąłem nierozważnemi i lekkomyślnemi odpowiedziami do rzeczy niemożliwych, a conajmniej już niedozwolonych? — A może przyczyną katastrofy był tylko przypadek, niepowodzenie miotające tak często nami taternikami, może źle obrany kierunek drogi czy inne podobne przyczyny?

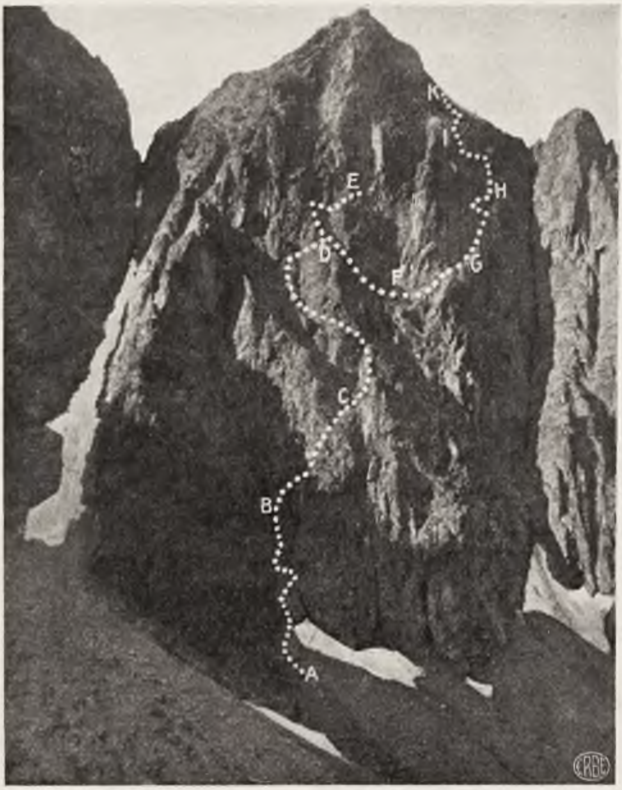
Napróżno starałem się znaleść uspokajającą odpowiedź na te pytania. Jedno tylko mogło mię wybawić z niepewności: oparcie sądu na własnem doświadczeniu.

Popęd jakiś wewnętrzny nakazywał mi iść na tę ścianę i naocznie się przekonać czy przejście jest możliwe. Chciałem, musiałem się dowiedzieć, co tam jest na górze. W ten sposób dopiero mogłem się dowodnie przekonać czy jest i moja wina w tem co się stało, czy nie?

Tak więc dnia 13 sierpnia 1911 wzięliśmy się z bratem moim Romanem do przejścia północnej ściany Małego Jaworowego. Poniżej kreślę przebieg tej wyprawy.

* * *

Noc jeszcze była gwiaździsta, godz. 1 min. 50 po północy, gdyśmy wyruszyli z miejsca naszego noclegu w Jaworzynie Spiskiej. Doliną Jaworową kroczyliśmy z latarkami w ręku i posunęliśmy się byli daleko w głąb doliny, gdy dnieć dopiero zaczęło. O 4-tej min. 15 stanęliśmy u stóp progu kotła Żabiego Jaworowego Stawku, skąd poczynają się rozległe piarżyska, ciągnące się aż pod same skały północnych ścian Jaworowego i Małego Jaworowego Szczytu. Zaczekaliśmy tu aż się rozwidniło zupełnie, ja zaś sporządziłem tymczasem szkic ściany, by sobie ułatwić oryentacyę. Zaznaczam też tutaj odrazu, że nie znaliśmy wcale szczegółów drogi obranej przy pierwszej próbie przejścia, ani też dróg wypraw ratunkowych w ścianie, co więcej rozmyślnie nie dowiadywaliśmy się o to, chcieliśmy się bowiem wziąć do dzieła zupełnie samodzielnie, znaleźć się w obliczu zadania zgoła nowego.



Fot. J. Lande.

A — wejście w skały.
B — rynna początkowa
C — zagłębienie.
D — żebro na wschód od kotła.
E -- platforma.
D — E, próba przejścia ściany.
F — kocioł piarżysty.
G — półka.
H -- żebro.
I — komin.
A — K, część drogi uwidoczniona na fotografii. (Od punktu K droga idzie jeszcze jakiś czas ścianą; ta jej część jest jednakże na ilustracyi niewidoczna).

Dolne części ściany dadzą się, na oko sądząc, przejść kilkoma drogami. Istotne zadanie do rozwiązania stanowi górna jej połowa. Najwyraźniejszem rozczłonkowaniem jest tam rzucający się w oczy, na prawo od całkiem gładkiej, pionowej, żółto zabarwionej ściany szczytowej, olbrzymi i jak żleb głęboki komin, ograniczony z prawej strony ogromnym filarem skalnym. Staraniem naszem było więc dotrzeć do owego komina; jeśliby był bowiem możliwym do przejścia, powodzenie wyprawy zdawało się być

zapewnione wobec tego, że przejście w skałach powyżej komina było z pewnością możliwe. Nadto na wypadek, gdyby komin okazał się nie do przebycia, pocieszyliśmy się istnieniem innej jeszcze możliwości przejścia krytycznego pasa ściany. Mianowicie poniżej dolnego ujścia komina widoczna była półka ciągnąca się w prawo na ściany, któremi, na wypadek wszelki, można było komin obejść. Partyami skalnemi leżącemi powyżej wcaleśmy się już nie kłopotali.

Na razie co do rozczłonkowania ściany wspomnieć jeszcze należy, że od wschodu ogranicza ją grzęda, spadająca od szczytu ku północnemu wschodowi. Ostroga skalna kończąca tę grzędę zawiera z właściwą ścianą kąt, od którego ciągnie się płaska rynna ku wybitnej, opancerzonej płytami turniczce, tkwiącej w samej grzę zie pn.-wschodniej. Ta rynna ułatwia wejście w skały.

O godz. 5 min. 10 ruszyliśmy, kierując się przez piargi ku owej grzędzie. Doszedłszy do skał poczęliśmy od zachodniej strony podchodzić popod jej stopy ku owemu kątowi; nie zapuszczając się jednak aż w jego zasypaną śniegiem głąb, weszliśmy na skały grzędy (5^{45}—5^{50}) i zdążaliśmy piarżystemi półkami zlekka na prawo ku górze. Tu związaliśmy się liną zmieniwszy obuwie i wdziawszy trzewiczki. Następnie okrążając w prawo występ skalny, weszliśmy do wspomnianej rynny i wspinaliśmy się po płytach zrazu wprost do góry, potem znowu w prawo aż do samego dna rynny. Trawersując stąd zaraz znowu w lewo, poczem wspiąwszy się kawałeczek wprost ku górze, wydostaliśmy się na poziome piąterko w rynnie gdzie znaleźliśmy hak z pętlą pochodzące jeszcze z zeszłorocznych prac ratunkowych. Rynna, którąśmy się posuwali dalej, jest na krótkiej jeszcze przestrzeni szeroka poczem zwęża się i przechodzi w płytami opancerzone zacięcie. Wspiąwszy się niem tylko niewiele zwróciliśmy się przez złożoną z płyt stromą ściankę, ograniczającą zacięcie z prawej, ku piarżystej płasience. Stąd ciągnie się dalej w prawo ku górze stroma półka, którą możnaby nazwać załupą; skała tej półki jest nadzwyczaj krucha i trawą przerosła, toteż wspinanie się nią było nader niemiłe. Półka okrąża występ skalny (tu znaleźliśmy pętlę) i wyprowadza na piarżyste pólko, leżące w nieckowatem zagłębieniu ściany. Biorąc się jeszcze dalej w prawo, wydostaliśmy się na trawiaste żebro, które zamyka z prawej owo zagłębienie (7^{35}—7^{30}) Żebrem wspinaliśmy się póty, póki nie zagubiło się w ścianie. Na prawo widne były czerwonawe miejsca po odpadłych skałach; skierowaliśmy się zatem w lewo i podążaliśmy lekko podnoszącą się ku górze trawiastą półką, która wyprowadziła nas na jakieś żebro; po drugiej stronie tego żebra widne były wielkie płyty szerokiej, płytkiej rynny, wyprowadzającej jak się zdaje na wielką pn.—wsch. grzędę, — nie mającej zatem znaczenia dla zdobywającego ścianę północną.

Wspinaliśmy się więc prawą (zachodnią) stroną osiągniętego żebra, a po kilku długościach liny (tu znaleźliśmy również hak z pętlą) — biorąc się nieco w prawo — przeszliśmy na inne żebro, poza którem spostrze-

gliśmy stromemi ścianami otoczony kocioł piarżysty. Poczęliśmy się wdzierać tem żebrem w górę — ku końcowi stawało się ono bardzo strome — i doszliśmy aż do miejsca, gdzie się gubiło w ścianie. Znajdowaliśmy się tu już u stóp górnych, stromych spaszt północnej ściany. Puściliśmy się w prawo wązkim, poziomym gzymsem w poprzek ściany, przekroczyliśmy płytką rynnę i znaleźliśmy się po jej drugiej stronie na wybitnym występie skalnym. Rozciąga się na nim dość obszerna platforma, pokryta wielkimi blokami i potrząśnięta drobniutkim piargiem. W prawo ciągnie się od niej piarżysta półka, kończąca się jednak wkrótce kątem skalnym, a dalszy jej ciąg widoczny jest w ścianach jedynie pod postacią wąziutkich gzymsików (915).

Znaleźliśmy tu na platformie na wielkim, płaskim bloku parę gumowych trzewiczków, obok mały woreczek płócienny z monogramem K. K., zawierający dwie pary szarych skarpetek. Nie próbuję nawet opisywać naszego usposobienia. Może znajdowaliśmy się właśnie na miejscu wypadku, gdzie, przy szalonej próbie wdarcia się na ściany powyżej, nastąpiło fatalne odpadnięcie Jarzyny. W każdymbądź razie musiał to być najwyższy punkt w ścianie, do którego wydostali się byli nasi poprzednicy.

Ale podobnie jak oni — i my także musieliśmy się tu zatrzymać. Gładko i pionowo strzela tu w górę żółta szczytowa ściana; tej chyba niemożna zaczepiać! Na prawo od niej olbrzymi, do żlebu podobny komin, ograniczony ścianą szczytową, a potężnym występem skalnym z drugiej strony. Zaklinowany właśnie na naszej wysokości olbrzymi blok, tworzy w kominie obszerną, piarżystą platformę. Poniżej bloku spada komin tylko jako stroma, żwirem i gruzem wypełniona rynna, do owego małego kotła skalnego, drążącego stopy pionowych ścian szczytowych. Zacięcie mające istotny wygląd komina poczyna się dopiero powyżej zaklinowanego bloku i ciągnie się jakie 50 m stromo ku górze.

Komin ten był podstawą naszych nadziei, teraz jednak bardzośmy się co do niego rozczarowali; z bliska nie przedstawia się wcale tak nadzwyczajnie, jak się był zapowiadał. W każdym razie trudno z tego miejsca z pewnością osądzić, czy się komin da przejść; jednakże dachówkowata, ku dołowi zwrócona, budowa jego ścian świadczyłaby przeciw temu. Z góry już jednak można stwierdzić jedno: przy przechodzeniu komina muszą być turyści dla siebie wzajemnie niebezpiecznymi. Jest on w całej długości pełen mniejszych i większych zaklinowanych bloków i trudnoby chyba było idącemu z tyłu uniknąć ugodzenia — jeśli już nie zmiażdżenia — przez jeden z nich. Z wyglądu zewnętrznego całego otoczenia komina, można już z dostateczną pewnością wnosić, że wszystko tam jest luźne i kruche. Skały mają barwę jasną a pokrywa je warstewka cieniuchnego piasku. I na naszem stanowisku widać to wszędzie dokoła a jeszcze wyraźniej w przedłużeniu dolnem komina i położonym niżej kotle, stanowiącym składnicę zwietrzałych, spadających i zmywanych skał.

Decydujemy, że z zupełnie bliska dopiero będziemy mogli rozstrzygnąć czy kominem pójdziemy — mimo, że wszystko przeciw temu

przemawia. Dzieli nas od niego jeszcze kawał ściany szeroki na jakie 30—40 m; zabieram się do trawersowania nią w kierunku komina. Wracam jednakże znowu po jakich 10 m. Nie dlatego by trawers był niemożliwy; jednak wszystko co tylko wziąć w rękę jest luźne i zwietrzałe tak, że przejście w poprzek stromej ściany jest raczej niebezpieczne jak trudne. Nie chcę jednak i nie wolno mi na tej ścianie ryzykować czegokolwiek, zwłaszcza niczego takiego, coby uczyniło powodzenie zależnem mniej od mojej zdolności a zdawało mię na łaskę szczęścia albo ślepego przypadku.

Przybici tem rozpoczęliśmy (10^{30}) powrót; teraz mieliśmy się przekonać w jaki sposób możnaby było obejść komin.

Z występu skalnego trawersowaliśmy więc z powrotem do owego, w górnej części stromego, żebra, którem schodziliśmy w dół póki się nie nadarzyła sposobność zejścia ku zachodowi w ów mały piarżysty kocioł pod ścianami szczytowemi (10^{50}). Trzeba się było teraz posunąć w poprzek ścian jeszcze spory kawał ku zachodowi, by obejść ową wielką zaporę skalną, poza którą należało szukać owej z dołu już dostrzeżonej półki, mającej nas znowu wyprowadzić w łatwiejsze skały.

Dno kotła zaścielał drobny piarg i żwir, przeto, by pewniej iść, wdzialiśmy znowu buty. Musieliśmy się w kotle nieco obniżyć, poczem poziomy trawers doprowadził nas do zwału zbudowanego z luźnych czerwonawych głazów. Po drugiej stronie zwału przeszliśmy w poprzek dolny wylot piarżystej rynny, spadającej od wielkiego komina i trawersując dalej dokoła zapory skalnej, natrafiliśmy istotnie na zaczynającą się tu dość wygodną, skalistą, trawą przetykaną półkę. Wiodła ona zachodnią stroną zapory stromo pod górę. W pionowych prawie skałach wznoszących się ponad nami nie można było dostrzedz żadnej szczerby, któraby wskazywała na możliwość posuwania się wprost do góry. Pod półką skała ścięta jest niemniej stromo i chyba nie przypominam sobie bym, przechodząc w Tatrach ponad przepaściami, odebrał kiedy wrażenie bardziej przejmujące jak tu, na tej zupełnie zresztą bezpiecznej półce. Ściany urywają się ku niesamowitej głębi nadzwyczaj stromego żlebu. W tym to żlebie — nieco powyżej jego dolnego ujścia — znaleziono 13 sierpnia 1910 r. straszliwie zniekształcone zwłoki Klimka Bachledy. Prawdopodobnie i on szukał przejścia na tej zwodniczo zachęcającej półce i odpadł z niej w przepaść.

Na kilka długości liny mogliśmy się szeroką półką posunąć zupełnie wygodnie, poczem natrafiliśmy na małą w niej przerwę. Ponieważ pozatem półka ciągnęła się dalej, usiłowaliśmy się do niej przedostać w nadziei, że nas zaprowadzi jeszcze wyżej. Przed przerwą wspięliśmy się zatem po płytach na nachylony, wodą ociekający, gładki gzyms; nim posunęliśmy się kawałeczek i zeszliśmy na przedłużenie półki, spuszczając się ku niej zacięciem na chłopa wysokiem (12^{45}). Zaraz potem zamykała półkę wystająca krawędź skały. Z trudnością wdrapałem się na nią, by zobaczyć, co będzie dalej. Ujrzałem przed sobą straszliwe, urwiste płyty. Te i na krok by chyba nie puściły.

Nie uznaliśmy się jednak jeszcze za zupełnie pobitych. Krawędź zastawiająca półkę ciągnęła się bowiem dalej ku górze jako bardzo strome żebro, którego strona zwrócona ku nam wydawała się dosyć poszczerbiona. Wszystko więc zawisło od tego, czy żebro da się przejść, gdyż mogliśmy się przecie spodziewać wyżej lepszego terenu.

Wdzialiśmy znowu trzewiczki. Zdawało mi się, że będzie najlepiej osiągnąć żebro zakosem od lewej strony (1[05]). Z półki wdrapałem się owem zacięciem z powrotem na gładki gzyms i czołgając się nim w lewo znalazłem się wnet na jego końcu. Pionową ścianę drążyła w tem miejscu ciasna rysa; podciągnąłem się nią tylko parę metrów do góry poczem podjeżdżając w prawo wązką listwą wzdłuż odpychającej ściany, dostałem się na płasienkę w rodzaju niszy. Ubezpieczenie następnego jest na tych zakrętach niemożliwe, Roman dostał się więc do mnie, wspinając się wprost płytkiem zacięciem. Krawędź żebra znajduje się jeszcze dalej na prawo. Dostaliśmy się do niej trudnym trawersem; trzeba było się nieco obniżyć, przewijając dokoła kanciastego występu poczem po paru poziomych krokach stanęliśmy tuż u krawędzi żebra. Wyspinaliśmy się na nią po stromej, urwistej płycie — jedno z najprzykrzejszych miejsc w całej drodze — zwłaszcza, jeśli się zważy, że ekspozycya jest bardzo znaczna i że ubezpieczenie na dużą odległość w linii poziomej jest bardzo wątpliwej wartości; następuje jeszcze jedno trudne miejsce, poczem — uszedłszy kawałek na długość liny — wydostajemy się na obszerne, piargiem zasłane piąterko na grzbiecie żebra. Wspinaliśmy się dalej stromo wprost jego krawędzią; po chwili osiągnęliśmy znowu szeroką terasę, ponad którą żebro przechodziło w ściętą turnię. Nad nami znów ściana była poszczerbiona i zdawała się puszczać w kilku miejscach. Z prawej strony ciągnęły się rdzawe skały ku przełączce leżącej między Małym Jaworowym a pierwszą z Jaworowych Turni, która sterczy tu jako olbrzymi bałwan skalny. Z barwy i wyglądu skały łatwo było osądzić, że jest ona nader krucha, odwodziło nas to więc od dalszego pochodu w tym kierunku. By obejść wyskok żebra uwieńczony turnią, zwróciliśmy się w lewo na jego stronę wschodnią. Dość szeroki, chociaż zaraz dalej z jednej litej płyty się składający, gzyms wiódł od naszego stanowiska ku środkowi całej ściany; doprowadził on nas poziomo do wązkiej, stromej rynny, ciągnącej się w górę po lewej stronie żebra. Po 25 m stromej wspinaczki w rynnie natrafiliśmy na jej rozwidlenie; prawe ramię zamykała u góry potężna przewieszka, wybrałem przeto lewe budzące we mnie więcej zaufania. Wnet jednak zwężało się ono w komin, równocześnie też skała stawała się nadzwyczaj krucha. Ponieważ znajdowałem się już o 40 m powyżej Romana — związaliśmy byli obie liny do ubezpieczenia — nie mogłem się ważyć na dalsze wspinanie się po tak wysoce niepewnej skale! cokolwiek tylko chwyciłem w rękę, wyłamywało się natychmiast. Wróciłem więc do rozwidlenia, by popróbować prawej odnogi. Można się nią było posuwać bez trudności a nawet znalazłem tu wreszcie dobre miejsce do stania tak, że mój brat mógł podejść do mnie. Gdyby nie to bliskie miejsce do ubezpieczenia byłby następujący kawałek

stanowczo za ryzykowny dla idącego naprzód. Rynna przechodzi tu w niewysoką, zato pionową i wąską szczelinę, w której u góry zaklinowany jest ruchomy blok. Pokonanie tego miejsca było chyba najtrudniejszem, co się w ścianie przygodziło. Powyżej było znów dobre miejsce do stania w piarżystej, głębokiej niszy; wystawał ponad nią olbrzymi, kilkanaście metrów sześciennych obejmujący, zaklinowany blok. Tu, gdzie dalsze posuwanie się naprzód wydawało się zgoła niemożliwem, znalazło się dzięki przypadkowi stosunkowo łatwe wyjście. Lewe orograficznie ograniczenie rynny stanowiła, parę metrów tylko wysoka, płyta tuż pod przewieszką; otóż gdyby się udało prześliznąć przez tę płytę, można się było znów znaleźć w otwartej ścianie. By ominąć przewieszkę, trzeba było ogromnym rozkrokiem dosięgnąć zaklinowanego w pół płyty głazu — był on jednakże za daleko. Udało mi się wszakże zyskać stąpnięcie bliższe w ten sposób, że wyrwałem z płyty kłaczek mchu, z pod którego ukazała się listewka szerokości dłoni. Tym sposobem zdołałem się dostać na środek płyty a wspiąwszy się po niej, znalazłem się znowu na grzbiecie żebra ograniczającego komin (330—345). Z tą chwilą mieliśmy już wszystkie trudności za sobą. Prawdopodobnie możnaby uniknąć i tych ostatnich trudnych miejsc, obchodząc turniczkę w żebrze nie po lewej, lecz po prawej stronie przez wspomniane brunatne skały ku przełączce między Małym Jaworowym a pierwszą z Jaworowych Turni; byłoby to zresztą również właściwe rozwiązanie przejścia północnej ściany, zwłaszcza, że i tak przechodzi się conajmniej cztery piąte jej wysokości — samą ścianą.

Mieliśmy jednak jeszcze ciągle nad sobą ową turniczkę, którą się kończy żebro. Przetrawersowaliśmy popod jej ścianami poziomo w lewo ku piarżystej płasience, przekraczając płytkie jak rynna przedłużenie opuszczonego przed chwilą komina; z płasienki zaś postąpiliśmy ku górze na długość liny przez zwalisko nader ruchomych głazów. Znajdowaliśmy się jeszcze jakieś 40 m poniżej samego szczytu, na wysokości pierwszej Jaworowej Turni widocznej z tego miejsca i bylibyśmy się mogli z łatwością wydostać na grań trawersując w prawo. Chcąc jednak wyjść jaknajbliżej szczytu, skierowaliśmy się skośnie w lewo wprost ku niemu i po łatwych stopniach wydostaliśmy się wreszcie na łagodnie pochyloną grań, w miejscu leżącem jakieś 20 m na zachód od oznaczonego tyką zachodniego wierzchołka (425).

Staliśmy z odkrytemi głowami, wspominając poległych, których imiona złączyły się tak smutnie z historyą tego szczytu. Pamięć tragedyi, która się tu zaledwie przed rokiem rozegrała, ukazywała nam i tak już dość przykre, wrażenia minionych godzin w bardziej jeszcze ponurem świetle. Mieliśmy bowiem za sobą trudy i to ciężkie trudy: przychodziło się wedrzeć na pełne zasadzek mury skalne, przetrząsnąć urwiste bezdroża. Mimoto ani na chwilę nie wyśliznęła się nam z rąk pewność bezpieczeństwa i — nie porywając się na nierozważne przedsięwzięcia — przebiliśmy się przez zapory ściany. Tak więc chociaż chwile naszej przeprawy należały



Fot. J. Chmielowski. Nakł. „TATERNIKA", LWÓW 1912.

MAŁY JAWOROWY OD PÓŁNOCY.

do najgorszych jakieśmy w Tatrach przeżyli, niemożna jej było nazywać czynem lekkomyślnym lub bezmyślnym...

Odpocząwszy na zach. wierzchołku zwiedziliśmy jeszcze oddalony na rzut kamieniem główny wierzchołek Małego Jaworowego, połączony z pierwszym wąską, poziomą granią. Poczem zabraliśmy się do schodzenia (5^{00}). Zbiegaliśmy szeroką granią pd.-zach. na pobliski Zawracik Rówienkowy (5^{15}—5^{20}), by puścić się w długą drogę powrotną przez Doliny Rówienek, Białej Wody i Białki — do Jaworzyny Spiskiej (9^{35}).

Księżyc wschodził właśnie gdyśmy się zbliżali do wsi, a domki jej spały w bladej poświacie nocy, — ten sam widok, co dwadzieścia godzin temu, gdyśmy stąd wyruszali.

* * *

Słów tych nie pisałem poto, by ogłosić taterniczą zdobycz, lub nawet „wybitny czyn" — tem mniej pragnąłbym, by opis niniejszy służył za zachętę innym do powtarzania tej wyprawy, o tak smutnych wypadkach nakazującej pamiętać. Zależało mi wszakże na tem, by opowiedzieć przyczyny, które mię do jej podjęcia skłoniły i com podczas niej przeżył.

Zatem wyprawa ta była tylko pielgrzymką pokutniczą? zapyta mię może niejeden.

Nie — z pewnością nie była to droga pokutna. Podobne twierdzenie byłoby z mej strony obłudą.

Niech jednak każdy ogarnie spojrzeniem życie (nie mam tu na myśli codziennego rzemiosła życiowego, lecz chwile w których mamy jakieś wyższe zamiary): czyż często nie jest nam bodźcem do czynu obok radości — troska, obok pochopu twórczego także przymus, obok zaparcia się siebie —nienawiść i obok czystego idealizmu także twarda konieczność pracy na chleb. Któż jednak w chwili czynu myśli o przykrych i złych stronach życia? Czyż wtedy nie cel, który przed nami jaśnieje, ogarnia sprężyny naszego działania i myśli?....

Takie też przeżycia dała mi ta wyprawa. Wielce smutne były przyczyny, dla których szedłem pod stopy ściany. Od chwili jednak, gdym rękę na skale położył, stałem się znowu w zupełności taternikiem, poddającym się wszystkim radościom i smutkom związanym z chodzeniem po górach. W ciężkiej walce, którą mi przyszło stoczyć ze skalnym światem, obudziła się we mnie znów w pełni namiętność do życia górskiego; działały na mnie silnie owe odczucia i wrażenia, które w chwilach, gdy idziemy po zawrotnych skalnych perciach, przenikają nam dusze. Musiał też i we mnie upomnieć się o swe prawa niewstrzymany instynkt górski, bo i jakżeby się dało wywalczyć zwycięstwo, gdyby duch i ciało najlepszych swych sił nie były wyładowały.

I dzień ów przyniósł mi znowu dowód, że w górach nawet wśród grożących niebezpieczeństw można z potrzebnem doświadczeniem i ostrożnością przeżyć chwile wzniosłe i dobić szczęśliwie do celu.

Zagadnienie stosunku sportu do kultury.

(Z literatury sportowej).

I.

W roku 1910. ukazało się studyum H. Steinitzer'a „Sport und Kultur", które swą tezą, argumentacyą, tonem, wzbudziło łatwą do wytłumaczenia senzacyę i wywołało szereg polemik, toczonych w towarzystwach sportowych, na łamach pism fachowych, wywołało repliki i dupliki. Dyskusya bardzo namiętna, często nieraz osobistych akcentów nabierająca, spełzła, jak zwyczajnie każda inna na niczem, nikogo nie przekonała prócz tych, którzy chcieli być przekonani. Teza studyum jest oryginalna, paradoksalna, a świetna argumentacya zwarta, dodaje jej blasku i podsyca odium. Bo, podczas gdy teoretycy sportu przyznają mu wartość wysoce dodatnią dla rozwoju kultury, a tylko pojedyncze głosy podnoszą się przeciw wybujałościom, jak np. w footbalu, w sześciodniowych wyścigach itp., Steinitzer twierdzi, że sport wogóle, ex difinitione i przez współczesne praktykowanie go, działa wprost rozkładczo na kulturę. Stara się przeprowadzić ten dowód, współczesnym, wzrosłym w atmosferze peanów na cześć dodatniego działania sportu dla rozwoju kultury, paradoksalnym wydający się, na podstawie odmiennego od innych ujęcia istoty sportu. Przedstawiona w świetle umiejętnie ugrupowanych wywodów logicznych, psychologicznych, psycho-etnicznych i historycznych, wartość sportu dla kultury obniżona jest do minimum, o ile nie jest oceniona ujemnie. Odmawia mu więc tego znaczenia na kulturę społeczną i indywidualistyczną, ciała i ducha, jakie przyznali mu fizyologowie[1]), psychologowie[2]) oraz socyologowie i organizacye państwowe[3]).

Z ogólnego punktu widzenia biorąc, stanowisko jakie zajął Steinitzer w gronie teoretyków, nie jest odosobnione. Przypomnę najsłynniejszy wypadek analogiczny: Gdy w roku 1750, akademia w Dijon rozpisała konkurs na temat, czy i o ile wpływa nauka i sztuka na rozwój moralności, jedynie J. J. Rousseau odpowiedział przecząco... i uzyskał nagrodę. Epokowe studyum jego wzbudziło olbrzymi entuzyazm lub oburzenie; dyskusye namiętne toczyły się kilkadziesiąt lat. I tu jest druga analogia do losu zagadnienia Steinitzera: obie dyskusye nie przyniosły rozwiązania zadowalającego wszystkich, a oba zagadnienia, na szczęście, zostały i zostaną kwestyami otwartemi.

Tak więc, gdy teoretycy wynoszą dodatnie znaczenie sportu dla rozwoju kultury, przez szczęśliwe oddziaływanie na zdrowie ciała, pośrednio na zdrowie ducha i podnoszą wartość jego dla odrodzenia zmurszałych społeczeństw przez wzmożenie sumy szczęścia, karności i zdrowia, to Steinitzer zajął wręcz przeciwne stanowisko: Twierdzi, że sport jest obojętny dla rozwoju kultury, o ile nie działa na nią rozkładczo[4]).

Przed rozważaniem dodatniego lub ujemnego oddziaływania sportu na rozwój kultury, należy nasamprzód ustalić zakres i treść pojęcia „sport". Mianem tem można nazwać polowanie, taternictwo, ale i zbieranie marek, ba, nawet mówi się, że ktoś robi sport z miłości i religii itp. Jeśli więc analizowałoby się rozmaite czynności, oznaczane tym wyrazem, w kierunku cech wspólnych,

---

[1]) Por. Schmidt. F. A. Physiologie der Leibesübugen. Stuttgart 1905.

[2]) Por. w kompendyach psychologii rozdziały o szczęściu, o uczuciach estetycznych i ruchowych. Także James: The varieties of Religions Experience. London 1902, str. 394 i nast.

[3]) Por. reskrypt pruskiego ministra wojny z 1909, o państwowem poparciu sportów i zawodów.

[4]) H. Steinitzer: Sport und Kultur. Mit besonderer Berücksichtigung des Bergsportes. München 1910. Verlag der deutschen Alpenzeitung.

jak to dotąd czynili ci, którzy chcieli zdefiniować sport — nie znalazłoby się żadnych innych cech wspólnych, jak tylko te, że są to właśnie czynności, a nie co innego. Tak zdefiniowane pojęcie sportu byłoby za obszerne, treść pojęcia miałaby natomiast za mało cech charakteryzujących. Wyraz „sport“ został jednak trafnie użyty powyżej, gdy twierdzono, że nawet religia może być uważana przez kogoś jako sport. Każda bowiem dowolna czynność może przez wykonanie stać się sportem.

a) By uzyskać jednak i uzasadnić taką definicyę wyodrębniającą trafnie sport od innych czynności, należy pójść drogą odmienną niż szli poprzednicy.

To co nazywamy sportem jest przedewszystkiem zjawiskiem społecznem. Samemu nie można uprawiać sportu. Jeden automobilista lub lotnik nie mogą uprawiać sportu: musi ich być więcej; lecz i wówczas dopiero może być mowa o sporcie, gdy uczestnicy zgodzą się przy wykonywaniu tych czynności na zachowywanie pewnych przepisów, służących do ułatwienia mierzenia sił, współzawodnictwa.

Sportem nazywamy więc dowolną czynność, o ile wykonywana jest wyłącznie w celu dobrowolnego współzawodniczenia[1]) z drugimi[2]), przy zachowaniu z góry ustalonych przepisów.

Przestaje nim być, jeżeli te dwa momenty są nieobecne przy wykonaniu; może być wtedy spełnieniem polecenia, zabawą, rozrywką itp. Tak więc, taka sama czynność, raz nie musi być sportem, drugi raz staje się nim, gdy przy wykonaniu jej dołączą się wspomniane dwie cechy. Sport nie jest pewną określoną czynnością, lecz jest metodą stosować się mogącą przy wykonaniu dowolnych czynności, które przez to stają się sportem.

Odróżnienie to jest, jak się okaże bardzo ważne, a nie zostało należycie ocenione w polemice przeciw Steinitzerowi.

Cechę ową mierzenia sił, współzawodnictwa, nazwę momentem sportowym, ściślej: jednym jego pierwiastkiem. Lotnictwo, saneczkowanie, filatelizm, stają się sportami, nie będąc nimi z istoty swej, skoro przy wykonaniu dołączy się moment sportowy.

Należy następnie uwidocznić motywy sportu, tymczasowo w powyższy sposób określonego. Każda dowolna czynność jest sportem, gdy ma na celu wyłącznie dobrowolne współzawodnictwo. Tem tylko różni się od innych czynności: wszystkie więc inne motywy sportowej czynności mogą być opuszczone, prócz tych właśnie, które muszą zaistnieć, by uzewnętrznił się moment sportowy, by np. jazda konna stała się wyścigami. Motywy te muszą być w istocie swej społeczne, by odpowiedzieć istocie sportu. Jednym z nich jest dążność sportowców ku wyodrębnieniu się od innych członków społeczeństwa, jak to uwidocznia się np. przez wytwarzanie żargonów sportowych: myśliwstwa, hippiki footbalu, lotnictwa itd. Tu należy dalej fakt, że ex difinitione sport nie może być praktykowany dla zysku, sportowiec musi być człowiekiem zasobnym. Należy więc uznać, że motywem sportu jest chęć osobistego wyróżnienia się (Streben nach persönlicher Auszeichnung). Jest to drugi pierwiastek momentu sportowego. Definicya sportu brzmi więc teraz: Każda czynność jest sportem, o ile wykonywana jest wyłącznie w celu współzawodnictwa, na podstawie ustalonych przepisów; motywy każdej

[1]) A więc nie może współdziałać moment utylitarny.

[2]) Przeciwnikami mogą być nietylko ludzie lecz i zwierzęta (polowanie), przedmioty martwe (góry), a nawet może się zdarzyć, że indywiduum ludzkie zdoła odczuć i przedstawić sobie współzawodnictwo swych poszczególnych funkcyi i dyspozycyi psychicznych.

czynności o ile jest sportem, zawarunkowane są wyłącznie dążeniem do osobistego wyróżnienia i uznania.

b) Po ustaleniu pojęcia „sport“ należy rozważyć, czy i o ile moment sportowy da się pogodzić z rozwojem kultury. — Uwagi godnem jest takie postawienie zagadnienia przez Steinitzera. Pokazuje przez to, że nie chodzi mu o dowiedzenie, czy pewne czynności, popularnie sportem zwane wpływają dodatnio lub ujemnie na rozwój kultury, ani też o to, czy czynności, które raz mogą stać się sportem, drugi raz nim być nie muszą, w obu razach stoją w takim samym stosunku do rozwoju kultury, czy nie — lecz chodzi mu jedynie o ustalenie, w jakim stosunku do niej, stoją pewne motywy czynności, określone powyżej jako moment sportowy. Wszelkie inne formy wyrażenia tego zagadnienia, jakie napotykają się w ciągu wywodów Steinitzera, należy uważać, nie jako zmianę poglądów, lecz jako rozmaite formy skrócone jednej myśli. — Znowu okaże się przy omawianiu polemiki, że sposób ten postawienia zagadnienia, nie został w niej przeważnie należycie uwzględniony, co pociąga za sobą ważne konsekwencye. Jest bowiem obojętne teoretycznie, czy Steinitzer rozwiąże zagadnienie postawione w powyższy sposób twierdząco, czy przecząco; — każda jednak polemika przeciw jego rozwiązaniu, o ile nie wyjdzie z jego stanowiska: zagadnienie stosunku momentu sportowego do kultury, będzie metodycznie błędna. Obrona przez przeciwników Steinitzera tez, jakoby niektóre czynności popularnie sportem zwane były dodatnie dla kultury, lub jakoby te czynności analogiczne były dodatnie, przy których wykonaniu nie współdziała Steinitzerowski moment sportowy, może być trafną, lecz jest walką przeciw wiatrakom, bo on ani nie stawiał takich tez, ani ich bronić nie zamyślał A większość przeciwników czyni tak właśnie.

Jakiż jest teraz zakres pojęcia „kultura“, między którą a momentem sportowym zachodzą określić się mające stosunki. Kultura jest dwojaka. Społeczna, która opiera się na ideale równości wewnętrznej (Plato, Kant), lub gospodarczej (Bebel, Bellamy). Moment sportowy, będący dążnością do uzyskania w tłumie stanowiska uprzywiljowanego, przeciwstawia się jaskrawo temu ideałowi. Byłby to dowód bezpośredni; pośredni, uzyskany jest przez analizę historyczną i psycho-etniczną charakteru rasowego (Rassencharakter). Steinitzer usiłuje wykazać, że sport nie jest czynnikiem dodatnim dla ustalenia charakteru rasowego: narody, które oddawały się sportom, tracą swe organizacye polityczne (Grecya, Indyanie). Te zaś, które nie znają sportu zachowują się najodporniej, mimo naciskających przeciwności (Żydzi, Chińczycy).

Tak więc sport jest wrogi społecznemu ideałowi kultury; dla drugiego zaś ideału kultury, kultury indywidualistycznej, jest bez znaczenia: historya wykazuje, że żaden z wielkich mężów, z geniuszów, nie był oddany sportowi, żaden sportowiec nie był wielkim mężem, geniuszem.

Ale niezaprzeczoną jest rzeczą, że sport wzmacnia zdrowie ciała. Rozwój kultury aryjskiej (indogermanischer Fortschrittsideal) jednak jest chorobliwy. Typ bohatera zdrowia (gesunder Heldenideal), wcielony np. w Zygfryda, jest zupełnie bezpłodny dla rozwoju kultury. Do rozwoju kultury przyczynili się nie zdrowi i normalni, lecz chorzy i anormalni: Hölderlin, Grabbe, Hoffmann, Schumann, Lenau, Nietzsche, Spinoza, Schiller, Chopin, Heine, Mohammed, Napoleon, Michelangelo, Schopenhauer, Hebbel, Grillparzer itd. Tak ideał wyrzeczenia (buddyzmu, bramanizmu, chrystyanizmu) jak przeciwny ideał nadczłowieka są jednako anormalne. Fakt, że sport wzmacnia zdrowie ciała, nie jest więc żadnym argumentem, by uważać go jako czynnik dodatni dla rozwoju kultury.

A można by tak mniemać o sporcie, jeszcze dla jednego powodu: zmusza bowiem najczęściej do ruchu, co zdoła ustrzedz ludzkość przed skarleniem i zgubą. Argument jednak taki, byłby błędny metodycznie, bo środek usuwający złe skutki jednostronnego wysilenia organizmu, nie może być nazwany

czynnikiem dodatnim dla rozwoju kultury, jak nim nie jest np. środek przeczyszczający; można zresztą poprzestać na minimum ruchu, bez szkody dla zdrowia (Chińczycy dali kulturę Japończykom).

Przedewszystkiem jeden punkt musi być rozpatrzony.

Teraz, jak zresztą w XVI. w. panuje przekonanie. że skutki zajęcia się sportem są dodatnie dla rozwoju kultury Kto więc dlatego oddaje się czynnościom zwanym popularnie sportami, by przez to działać dodatnio dla kultury, to w motywach ich u niego, niema momentu sportowego, lecz czyni on to z obowiązku, miłości ojczyzny itp. Wtedy więc, ex definitione czynność taka przestaje być sportem. Jeżeli zaś owe czynności są wykonywane ze względów osobistych, wtedy występuje przez to samo moment sportowy jako motyw. Taki jednak stan kultury, w którym motywy osobiste zajmują miejsce motywów ogólnie obowiązujących (allgemeingültig), nazywa się stanem schyłkowym (Dekadenz). Albo więc czynność dowolna jest z istoty swej bezwartościowa dla rozwoju kultury, a wtedy nie może nabrać wogóle jakiejś wartości, gdy dołączy się do jej motywów moment sportowy. Lub też jest dodatnią dla rozwoju kultury, a wtedy wartość jej znika, gdy do motywów jej, przyłączy się moment sportowy. Sport jest więc dla rozwoju kultury objawem obojętnym, lub jest zjawiskiem schyłkowem.

Tem tłumaczy się związek między współczesnem rozpowszechnieniem stosowania do dowolnych czynności metody sportowej i między ogólnym charakterem współczesnego życia (allgemeine Lebensführung) opartym na dążeniu do osobistego wyróżnienia i uznania. Z wzrostem tym idzie w parze rozpowszechnienie analogicznych motywów w życiu codziennem, w sztuce, w nauce: wytworzył się typ „Ellenbogenmensch". Nie można zaprzeczyć istnienia związku między współczesnem rozpowszechnieniem metody sportowej, a ogólną tendencyą akcentowania pierwiastków egotycznych, jak stara się to wykazać na długim szeregu przykładów. Historya zaś uczy, że wzrost tych pierwiastków — z którymi jednocześnie ukazuje się rozpowszechnienie sportów — jest zgubny dla danego społeczeństwa, jak to widać na Grekach, na epoce minesengerów: następstwem bezpośredniem był upadek polityczny, charłactwo ogólne. Historya wspomnianych organizacyi uczy więc, że sport nie zdoła skierować dążeń do osobistego wyróżnienia na względnie nieszkodliwe tory. Jedynie Anglicy potrafili zredukować do minimum zgubne skutki ogarnięcia innych dziedzin życia przez tendencyę sportową. Wręcz przeciwnie niż na kontynencie, nikt w Anglii nie myśli o sporcie, jako o czynniku odrodzenia społecznego, lub jako o zjawisku mogącem być wogóle wartościowanem dla rozwoju kultury. Stosowanie momentu sportowego ograniczone jest tam wyłącznie do swej dziedziny: zabawy, rozrywki, ćwiczenia fizycznego. Także wielka rzeczowość Anglików, chroni ich przeciw wybujałościom momentu sportowego, nawet w obrębie tych czynności, do których musi być stosowany ex definitione. Ale już w angielskich koloniach, Australii, Nowej Zelandyi widać, jak zgubny jest dla rozwoju kultury moment sportowy, stosowany poza dziedziną sportu. „Der Geist ist es der die Schlachten der Menschheit schlägt", sport zaś może zamulić tylko źródło, skąd duch czerpie siły: zapał dla wartości ogólnych i wiarę w nie, nigdy jednak nie zdoła ożywczych wód jego rozlać na społeczeństwo.

c) W wywodach poprzednich starał się Steinitzer dowieść, że wzrost i rozpowszechnienie momentu sportowego, nie okazały się nigdy czynnikami dodatnimi dla rozwoju kultury. Te ogólne wyniki chce zastosować teraz w poszczególnym wypadku, do alpinizmu [1]). Analiza ta będzie tem bardziej znamienna, że

---

[1]) Zwracam uwagę, że Steinitzer odróżnia alpinizm (Bergsteigen) od alpinizmu sportowego (sportl. Alpinismus). Ten drugi równa się niejako: Bergsteigen + moment sportowy.

zwłaszcza alpiniści są skłonni uważać swój sport, jako par excellence czynnik odrodzenia społecznego, z pomiędzy teoretyków sportu, alpiniści są najbardziej optymistyczni, co do dodatniego działania sportu na rozwój kultury. Są jednak poniekąd wytłumaczeni, wprowadzają ich bowiem w błąd objawy zewnętrzne ich sportu: beztroskie wczasy na łonie potężnej przyrody, samotność, cisza, wzniesienie. — Ale i alpinizm zawiera tak wiele momentu sportowego, jak się okaże, że tylko na pozór zapobiega rozkładowi schyłkowemu społeczeństwa, w rzeczy zaś przyspiesza go jeszcze.

Dla udowodnienia tej tezy, należy wpierw udowodnić: A) że alpinizm współczesny zawiera moment sportowy, B) że z rozwojem alpinizmu idzie w parze przyrost pierwiastków sportowych w nim zawartych, C) że przyrost ten należy uważać jako zjawisko schyłkowe, ponieważ uszczupla lub unicestwia dodatnie działanie turystyki górskiej (Bergsteigen) na kulturę. — Zauważyć należy, choć z przeciwników Steinitzera nikt tego nie chciał spostrzedz, że uznaje on przecie taki alpinizm, w którego motywach brak momentu sportowego, jako dodatni dla rozwoju kultury; cechą charakterystyczną takiego alpinizmu, może być chęć zabawy lub rozrywki, bywa zwykle pragnienie oderwania się od niwelującej pracy codziennej, badań naukowych, studyów artystycznych, uczuć estetycznych i religijnych itp.

A) Że w alpinizmie sportowym jest moment sportowy, poparte jest to kilkoma argumentami:

Zjawisko „pierwszych wyjść"; staje się modne pod koniec XVIII. wieku. Mont Blanc jest dlatego zdobyty po raz pierwszy, by innych wyprzedzić, którym ta myśl przyszłaby do głowy: motywem jest więc żądza odznaczenia się, ambicya. Przykład ten daje schemat współzawodnictwa zdobywcy szczytu z jego ewentualnymi następcami, którzy przez to samo zostali pokonani w wyobrażonych zawodach. Między Whymper'em (Anglia) a Carrel'em (Włochy) rozgrywały się formalne zawody o zdobycie Mont Cervin. Opis ich czyta się jak dramatycznie ułożone sprawozdanie z pierwszorzędnie obsadzonego wyścigu lub matchu footbalowego [1]). Najlepszym dowodem, że pierwsze wyjście jest przedmiotem współzawodnictwa, jest fakt, że sami alpiniści żądają poddania go pewnej kontroli (wizytówki składane na szczycie, opisy pierwszych wyjść). Istnienie momentu sportowego jest tu oczywiste: Kto bowiem wdrapuje się na szczyty z pobudek estetycznych lub naukowych, temu nie będzie zależeć na tem, czy był kto przed nim na szczycie, czy też nie. Dowodzi tego dalej fakt, że były wypadki wnoszenia obcych wizytówek na trudne szczyty: widoczna jest tu *α*) chęć odznaczenia się, *β*) świadomość, że będzie to rzeczywiście jako odznaczenie poczytane. — Przytacza tu Steinitzer mistyfikacye Englischa na temat jego pierwszych wyjść.

Stawianie rekordów czasowych. Prawdą jest, że ten szczegół nie grał zbyt wielkiej roli w rocznikach alpinizmu, był nawet czasem ostro ganiony[2]). Mimo to zauważyć jednak należy, że do opisów wyjść dołącza się z reguły przypis o czasie potrzebnym na uskutecznienie wyjścia. Ale przypisy takie znajdują się także przy opisach powtarzanych wyjść. Nie służą one wtenczas do informacyi, lecz tylko są uważane za dane ułatwiające mierzenie sił.

Tego rodzaju współzawodnictwa między alpinistami mogą mieć również miejsce między korporacyami fachowemi.

Wyjście pod pewnymi warunkami przedmiotowymi. Np. pewną umówioną, drogą, trawersowanie, wyjście kombinowane, zimowe itp. Takie zmiany warunków przedmiotowych, służą także do porównawczego mierzenia sił.

---

[1]) Whymper: The Ascent of Matterhorn. London 1880.
[2]) Przypominam sprawę Piaza.

W trzech powyższych punktach omówione było istnienie momentu sportowego w alpinizmie sportowym współczesnym, a to przez stwierdzenie istnienia w nim współzawodnictwa, spowodowanego niezdrową ambicyą osobistego odznaczenia, wiodącego do egzaltacyi tej ambicyi, do wzbudzenia zawiści, zazdrości, do oszustw nawet. Faktem jest jednak, że mierzenie sił może mieć miejsce oprócz tego między alpinistą a górą: jest ona wtedy ujmowana przez prądy uczuciowe świadomości w sposób animizujący, lub nawet antropomorfizujący, analogicznie, jak zachowuje się wobec przedmiotów martwych psychika ludów pierwotnych, dzieci i niektórych artystów (Słowacki, Victor Hugo, William Blake). W literaturze alpinistycznej występuje bardzo często taka nadludzka góra-istota, jako przeciwnik, który broni zdobywcy wyjścia na się. W opisach takich zawarte są po większej części rzeczywiste przeżycia przedstawień walki: mówią autorzy o zapasach, o trudzie, o zwycięstwie i klęsce, o hańbie i chwale.

W końcu dusza alpinisty może być polem zapasów samej z sobą, różnorodnych swoistych energii, podłoża zjawisk psychicznych. Nietzsche mówi np. o walce dumy ze zwycięstwa, przeciw trwodze przed niebezpieczeństwami.

Tak więc jest w współczesnym alpinizmie moment sportowy, tj. motyw współzawodnictwa oraz chęci wyróżnienia osobistego i uznania.

B) Ciekawą jest rzeczą, śledzić jak z rozwojem alpinizmu, daje się w nim zauważyć przyrost tendencyi sportowych, podczas gdy do połowy XIX. wieku przeważały naukowo-odkrywcze i estetyczno-religijne. Jako datę powstania alpinizmu sportowego uważa się rok 1854, datę pierwszego wyjścia na Wetterhorn, przedsięwziętego tylko dla motywów sportowych, bo już poprzednio wdrapano się nań, lecz dotarto tylko do wysokości 10 stóp poniżej szczytu. — Charakterystycznym pod względem wzrostu tendencyi sportowych w alpinizmie, jest następujący przykład. Jako cel niemieckiego i austryackiego związku alpejskiego (Deutsch. und Oest. Alpenverein), jest jeszcze podane w statucie rozszerzenie i pogłębienie poznania Alp Austryi i Niemiec, oraz ułatwienie podróży alpejskich. Obok tego uznanego celu, wzbiera jednak, jak zaskórna woda, prąd inny, prowadzący do celów zupełnie statutowi obcych, a uwidoczniających się np. w opisach w organie związku, powtórnego i dziesiątego wyjścia na pewien trudny szczyt: nie ma w tem ani poznania nowej drogi, ani momentu praktycznej doniosłości, lecz tylko tendencya sportowa. Także ustalenie kategoryi wyjść, np. zimą, z przewodnikiem lub bez, przez tę lub ową rysę, przez ten lub ów komin, itd., wskazuje na wzrastającą przewagę motywów sportowych w alpinizmie. Objawem tego jest także wzrost literatury alpinistycznej, oraz wtargnięcie do życia towarzystw alpinistycznych, momentu sportowego, prowadzącego z sobą współzawodnictwo nie zawsze szlachetne, zawiść, podstępy, plotki, krańcowe ambicye osobiste na tle rekordów alpinistycznych. Tu jest miejsce mówić o stałem zaostrzaniu skali trudności: mogłoby ono być objawem zwiększania się odwagi, sprawności, przedsiębiorczości itp., lecz forma tej tendencyi nie pozwala na takie tłumaczenie: góry bowiem z ich niebezpieczeństwami nie mogą być trafnie umotywowanym punktem wyjścia, dla walki przeciw niwelującym siłom życia współczesnego, a gdyby nawet, to alpinizm sportowy nie pochodzi przeważnie z wewnętrznej potrzeby pokonania takich sił przez zwalczanie trudności świata gór, lecz chodzi mu o stawianie rekordów, lub szerzej, o chęć odznaczenia się, o zwycięstwo nad współzawodnikami. Tak skomplikowany aparat ustalenia skali trudności, wynikł z dążności ku osobistemu wyróżnieniu i pragnieniu uznania, oraz z chęci ułatwienia oceny współzawodnictwa drugich. — Charakter literatury alpinistycznej zmienił się współcześnie na dwu punktach, raz, że z estetycznych stały się opisami trudności pokonanych, drugi raz, że można w nich zauważyć stale wzrastające akcentowanie własnej osoby, wzrastające uwydatnianie pierwiastku egotycznego.

C) Ten rozrost tendencyi sportowych alpinizmu, odbywa się na koszt jego charakteru pierwotnego, naukowego, estetyczno-religijnego i społeczno-moralnego. Dawniej dawał alpinizm wrażenia, które „nie mogły być porównane z niczem, czego doznać było można zresztą na ziemi" (Saussure 1787). Już Petrarka podlega „ekstazie szczytowej" (1336), a Seigneur de Villamant „zapomina na szczycie o trudzie i czuje jak duszę jego napełnia niewypowiedziana radość" (1588). Alpinizm w szerszem znaczeniu (Bergsteigen) daje ekstazę szczytową ową prawdziwą, słoneczną „Bergergriffenheit". Jako taki działa na najgłębsze ośrodki kultury indywidualistycznej. Daje przez oderwanie od codziennego życia i środowiska, możność wypracowania sobie perspektywy moralnej, stałej, wyniesionej nad poziom codzienny. Takie oddziaływanie alpinizmu na kulturę unicestwione staje się, gdy do motywów jego dołączy się moment sportowy, który przez drobiazgowość, niewolniczość dążenia do osobistego odznaczenia, nie dopuszcza do uświadomienia i uniemożliwia praktykę tych idealnych celów alpinizmu, pogłębiających wydatnie kulturę indywidualistyczną. Faktem zaś, który najpewniej niweczy wszelkie próby uzyskania owej perspektywy moralnej (Nietzschego: Gefühl der Distanz) jest wtargnięcie w praktykę alpinizmu imperatywu mody, niwelującej jak wszędzie, tak i tu zapędy indywidualistyczne przez to że zjawia się mania modnych gór, dróg, grani, kominów. Tłumaczy się to łatwością kontrolowania współzawodnictwa, przez przedsiębranie wspinaczek często wykonywanych. Tak więc, zamiast, by służyć rozwojowi osobistości, alpinizm sportowy staje się szkołą owczego pędu. Wytwarza brak podobny samodzielności także w literaturze fachowej: „robione" nastroje, uczucia potęgi, grozy, dumy, walki z górą, zwycięstwa, klęski itp., wszystko to, za jednym przykładem szczerym fabrykuje się przy biurku w stosunku jednego do kilkudziesięciu. Najbardziej charakterystycznem jest, że alpiniści nie umieją milczeć, przez co najcudniejsze zakątki zalewane są tłumami pospólstwa duchowego.

Z chwilą więc, gdy do motywów alpinizmu (Bergsteigen) przyłączy się moment sportowy, zostaje tem samem zniweczony wpływ jego dodatni na rozwój kultury indywidualistycznej. Sportowy alpinizm działa jednak ujemnie także na rozwój kultury społecznej. Bo alpinizm w szerszem znaczeniu (Bergsteigen) działa często dodatnio na rozwój ideału równości, niwelując kasty społeczne w obliczu niebezpieczeństwa, lub wzruszenia estetycznego i religijnego. Stan ten, nie braterstwa, ale pewnego przyjacielskiego zbliżenia w stosunkach wzajemnych, znikł dziś z gór zupełnie. Ludzie znoszą się ledwo, tak jak w miastach. Jeżeli alpinizm sportowy nie jest tego stanu powodem wyłącznym, to jest w każdym razie jednym z powodów, bo dąży do uwydatnienia różnic społecznych: do wytworzenia nowej kasty uprzywiljowanej, tych, którzy lepiej wspinają się od innych.

Są więc sport i kultura przeciwieństwami wykluczającemi się. Twierdzenie, że sport działa dodatnio na rozwój kultury polega najczęściej na błędnej definicyi sportu. Nie jest on w żadnym razie tylko: „ruchem na świeżem powietrzu", lecz jest pewną metodą wykonywania dowolnych czynności, która zawiera w sobie pierwiastki wrogie wszelkiemu rozwojowi kultury.

ZYGMUNT CZERNY.

Nowe drogi.

Pośrednia Grań. I. wyjście granią wschodnią. Z bratem Romanem 5 sierpnia 1911. Od schroniska Tery'ego (945), zeszliśmy po buli ścieżką aż do miejsca, gdzie ta ostatnia przecina ujście Lodowej Dolinki. Po drugiej stronie wychodzimy piargami ku żlebowi, ujętemu z prawej strony przez

Żółtą Ścianę, z lewej przez grań wschodnią, urywającą się stromemi ścianami. Wymieniona grań spada pod koniec w Dolinę Zimnej Wody bardzo wysokiemi, trawą przetykanemi spasztami. Na wysokość urwiska, gdzie zaczyna się właściwa grań, wyprowadza z wymienionego na początku żlebu, od prawej ku lewej wznoszący się, zachód. Szliśmy żlebem do początku zachodu. Tu wejście w skały (10^{23}). Zachód — dobrze wydeptana kozia perć — daje się łatwo przejść i doprowadza przy słabem wzniesieniu, ponad wymienione najniższe urwisko grani (10^{28} — 11^{15}; tutaj musieliśmy dłuższy czas przeczekać, z powodu gwałtownego deszczu). Grań zaczyna się zaraz powyżej nas turniczką w kształcie koguciego grzebienia. Wprost z siodła wychodzimy z lewej, trawiastą załupą na następny stopień. Z niego trawiastą półką kilka kroków w lewo i tędy wokół pierwszego zęba turni. Dalej krawędzią (od prawej zakręcając) na szczyt turni. Stąd w prawo w dół i dalej wązkiem ostrzem. Z lewej wspiera się o wznoszącą się grań, trawiasty stok, którym w górę na stopień grani (11^{40} — 11^{48}). Z niego trawkami na prawo, na długość liny, skośnie ku górze, poczem po luźnych głazach z powrotem trawers na grań Nią dalej (po trawkach; z lewej podchodzą trawiaste stoki aż do grani), aż dojdziemy do równego, maliniakiem pokrytego, miejsca. (Tu wielka wyrwa w ścianie). Z wcięcia między płytami grani a odpękniętemi turniami z prawej, wychodzimy z pomocą krótkiej wązkiej rysy i następującej płytowej grzędy, na długości liny w górę i dalej jeszcze o jedną długość po łatwej, szerokiej, grani aż do płytowej ścianki. Po nachylonej w prawo, gładkiej, płycie, skośnie w prawo w górę i wypełnionem złomami zacięciem z powrotem na grań. Wznoszący się przed nami (nieco w lewo wysunięty) cypel najlepiej obejść z lewej. Znalazłszy się znowu na grani, mamy drogę zamkniętą przewieszoną, na 10 — 15 m wysoką, poprzeczną ścianką. Ponieważ wspięcie się na nią wprost byłoby zapewne niemożliwe, zeszliśmy na lewo po trawie 30—40 m (tu mała dziupla w stoku, dająca dobre stanowisko do ubezpieczenia) i przeszliśmy dość nizką tutaj ścianę w miejscu, gdzie ją przerywa rysa (dolne 4 metry trudne). Dalej w górę na schodzące w lewo, trawiaste żebro, którem wchodzimy skośnie w prawo na grań, osiągając ją tuż powyżej niedającego się przejść urwiska. (2^{35} — 2^{40}). Stąd w zakosy na długość liny na trawiasty zachód, ciągnący się w prawo, którym przeszedłszy około 20 m., z powrotem w lewo na grań. Nie przedstawia ona teraz żadnych więcej trudności i ciągnie się, coraz bardziej płaska i trawiasta, dalej. (Tu dotyka grani wschodniej na krótkiej przestrzeni wychodzący ścianą północną szlak Dubkego, który jednakże opuszcza grań zaraz w lewo i osiąga szczyt kołując od południa). Pod wzniesieniem szczytowej turni okraczamy w prawo eksponowany róg i dostajemy się, zapomocą krótkiej piarżystej rynny, znowu w lewo na grań i nią na blizki szczyt (3^{40}).

Co do ogólnej charakterystyki drogi jeszcze kilka słów. Grań wschodnia Pośredniej Grani opada tylko ku północy, bez przerwy, wysokimi i stromymi spadami. Od południa natomiast sięgają najczęściej trawiaste stoki całkiem blizko grani, która jednakże utrzymuje nawet z tej strony swój charakter tak dobrze jak np. Grań Baszt w większej swej części. Wspinanie się jest miejscami trudne i z powodu trawiastego terenu i kruchej skały niezupełnie pewne. W ogólności jest to wycieczka niewdzięczna i nie dorównuje pięknością — nawet w części — grani półn.-zachodniej (od Żółtej Ławki przez Żółty Szczyt).

Kołowy. I. wyjście ścianą północną. Z bratem Romanem, 9. sierpnia 1911.

Z Jaworzyny 7^{20}; Stawek Kołowy 9^{25} — 9^{50}. Północną ścianę Kołowego ogranicza od wschodu olbrzymi, od grani wschodniej się ciągnący, żleb śnieżysty. U jego ujścia na piargi występuje ze ściany — na zachód od żlebu — długa, głęboko w dół sięgająca ostroga. Wejście w najniższym jej punkcie (11^{05}). Trawiastymi, nieprzyjemnemi skałami ostrogi wdzieramy się w górę

(zaraz powyżej wejścia czekaliśmy w niszy z powodu nagłej burzy, od 11^{15} do 12^{50}), aż do występującej ścianki. Krótką, wznoszącą się od lewej, półką skalną wydostajemy się na występ, który ciągnie się dalej ku ścianie jako bula. Trawiasta z początku, przechodzi ona następnie w strome, dobre turnie, które ciągną się na prawo od płytkiej rynny i wreszcie gubią w ścianie. Z tego miejsca ciągnie się, słabo w prawo, otwarta rynna, na lewo znów wyprowadza szeroki zachód płytowy, pochyły na zewnątrz. Ponieważ płyty, tworzące zachód źle są uwarstwione (wówczas w mokrym stanie byłyby jeszcze gorsze), posuwaliśmy się skałami tuż na lewo od zachodu. Po 2 — 3 długościach liny przeszliśmy do mało wybitnego, jużto poszarpanego, jużto płytowego, żebra, położonego bardziej w lewo. Ciągnie się ono tuż obok wspomnianego zachodu i uchodzi w miejscu, gdzie się on właśnie kończy — na piarżystą półkę (2^{30} do 2^{40}). Idąc nią jakiś czas w lewo, ujrzeliśmy w ścianie szerokie wgłębienie, w którem naprzemian następowały ścianki, żebra, rynny i półki piarżyste. Tędy przewijaliśmy się w górę, poczem przeszliśmy czerwonawą, wązką i stromą rynną na prawo na bulę, której łatwym trawiastym grzbietem posuwaliśmy się dalej w górę, powoli nieco w lewo, w kierunku szczytu. W końcu osiągnęliśmy grań północno-zachodnią (ok. 40 m poniżej szczytu), jednakże wróciliśmy po kilkunastu metrach, poniżej stromego uskoku, znowu w lewo, na ścianę północną. Krótki poziomy trawers doprowadza do ujścia 5 — 6 metrowego komina; nim (zaklinowany chwiejący się głaz), poczem na końcu stopniami, wprost na na szczyt (3^{25}).

Odbyliśmy wycieczkę w możliwie najnieodpowiedniejszych warunkach (mgła, zimno, wiatr, deszcz, mokre skały), tak że niepodobna nam jej bezwzględnie scharakteryzować. Orjentowaliśmy się również jedynie na podstawie szkicu sporządzonego rok przedtem. Dr. Gyula Komarnicki.

Małe Solisko. Przejście ściany północno-wschodniej*) 17 sierpnia 1911.

Wschodnie i północno-wschodnie ściany Zadniej i Przedniej Turni Soliskowej, oraz Małego Soliska, wznoszą się nad dość obszerną, złomiskami zasypaną terasą, oddzieloną od głównego pnia Doliny Młynicy stromemi spasztami, mającą jednak tak w południowym, jak i w północnym końcu dobre połączenie żlebami z dnem doliny. Z terasy na Przełęcz Soliskową wiedzie wybitny żleb rozdzielony potężną turnicą na dwa ramiona.

Na pn.-wschodnią ścianę Małego Soliska wchodzimy tak, że jeden z nas idzie krótki czas lewem (pd.) ramieniem wymienionego przed chwilą żlebu, — drugi zaś jasnymi stopniami skał na lewo od lewej (płytkiej) grzędy żlebu (1^{45} po poł.; an. 2150 m). Następnie razem trawiastą półką u stóp stromszych ścian — na lewo do jej końca u stóp nizkiego progu. Po prawej łatwo ponad próg na wygodną półkę trawiastą, ciągnącą się w poprzek ściany. Następujący teraz, do 100 m wysoki pas ściany, stanowią średnio strome płyty, poprzedzielane półeczkami i rynnami trawiastemi. Ich przejście jest łatwe, iść można dowolnie. W lewej połaci stromych urwisk szczytowych wcinają się dwie równolegle do siebie idące, strome rynny. Prawą w górę aż do przewieszki, obok której w lewo na grzędę i nią w górę. W ten sposób wchodzimy do sąsiedniej rynny, która wkrótce kończy się stromą i kruchą ścianką (odtąd na linie). Po jej dość trudnem pokonaniu stoimy na wązkiej grańce bocznego żebra (kopczyk), ok. 10 m poniżej szczytu. Stąd prosto w górę do przewieszonego bloku i przewinąwszy się w lewo osiągamy grań szczytową, kilkanaście kroków na pd. od kopczyka

*) Wyjście Dr. A. Martina na Małe Solisko od wschodu, z dnia 18 września 1907, opisane w IV. Jahresbericht 1907 Akad. Alpen-Ver. Berlin. (str. 34; por. także Przewodnik J. Chmielowskiego t. II. str. 138) jest od drogi poniżej opisanej zupełnie różne. Podobnie ma się rzecz i z zejściem do Dol. Furkotnej (opis tamże).

(2336 m; 3^{20}). — Trudności, z wyjątkiem ostatniej, zresztą zupełnie krótkiej części, całkiem nieznaczne.

Zejście w Dolinę Furkotną. Tegoż dnia.

Z Małego Soliska 3^{42}. Granią ku pn.; po przejściu stromej płyty opuszczamy zaraz grań (na stronę Doliny Furkotnej) krótkim trawersem w prawo do łatwego terenu. Znajdujemy się na trawiasto-skalistej grzędzie; na lewo ostro wcięty żleb. Grzędą kilkadziesiąt metrów w dół, gdzie zaczyna rozpłaszczać się i rozszerzać. Tu możnaby znaleźć przejście przez płyty na lewo do żlebu i połączyć się następnie ze szlakiem, obranym przez Dr. Martina. Obawiając się jednak w dolnych partyach podciętych skał (tak też jest w rzeczywistości, przejście przez nie jest jednak — jak dowiódł Dr. Martin — możliwe), trawersujemy poziomo w prawo poprzez łatwy teren aż nad brzeg potężnego, głęboko wciętego żlebu, spadającego od Przełęczy Soliskowej. Zejście na dno żlebu po stromej, kruchej skale, ciągle skośnie w dół ku prawej (dno osiągamy w tem miejscu, gdzie wązki dotychczas — od góry — żleb, nagle rozszerza się). Po piargu w dół do ujścia żlebu na usypiska Furkotnej Doliny (an. 2040 m; 4^{38}).

R. Kordys. J. Maślanka.

Z sezonu.

Ruch turystyczny był w bieżącej zimie — jak dotąd — z polskiej strony dość słaby. Żywszą działalność rozwinęła jedynie Sekcya Narciarska Akad. Związku Sportowego w Krakowie, organizując kilka wycieczek zbiorowych w Tatry.

Pierwsza z nich, pod wodzą J. Grabowskiego, przeszła 2. lutego przez Zawrat a następnego dnia zwiedziła Gładki Wierch (I. w. zim.). Druga, również prowadzona przez J. Grabowskiego, przeszła 3. marca granią z Zaworów na Cichy Wierch (I. w. zim.), a stamtąd na Wielką Kopę Koprową (I. w. zim.), poczem wróciła tą samą drogą i przez Gładką Przełęcz do Pięciu Stawów.

25. marca odbyto pod kierunkiem M. Świeża i wspólnie z Sekcyą Narciarską T. T. wycieczkę na Szeroką Jaworzyńską (I. w. zim.) od Doliny Szerokiej.

29. grudnia zwiedzili W. Cybulski, W. Majewski i M. Świerz, Bobrowiec (I. w. zim.).

Żywszy daleko był ruch turystyczny po stronie węgierskiej. Z nowych wyjść zimowych mamy następujące do zanotowania:

3. XII. zwiedzili G. Hefty i L. Rokfalusy Kołową Przełęcz, tudzież Jagnięcy Szczyt.

9. XII. był L. Rokfalusy na Złomiskiej Turni, następnego dnia z G. Ballą na Siarkanie.

8. XII. wyszli G. Komarnicki i G. Hefty na Mały Kościół, następnego zaś dnia na Jaworowy Szczyt.

28. XII. wyszli T. Kregczy i L. Rokfalusy na Szczyt Czarny.

13. I. zwiedzili G. Hefty, T. Kregczy, A. Maurer i L. Rokfalusy Bystry Przechód, Furkot i Hruby.

21. I. wyszli G. Hefty i L. Rokfalusy na Solisko.

1. II. był G. Komarnicki na Rywocinach.

18. II. wyszli G. Hefty i S. Neumann na Kościółek.

24. III. zwiedzili G. Balla i L. Rokfalusy Wielką i Małą Szarpaną Turnię.

Dokonano też wielu powtórzeń, szczególnie w okolicy Popradzkiego Stawu, gdzie schronisko było przez pewną część zimy otwarte i zagospodarowane. Z ciekawszych wymienić należy zwiedzenie Osterwy, Tępej i Kończystej (26. III.), tudzież Baszty Przedniej, Małej i Szatana (30. III.) przez R. Kordysa i J. Maślankę.

Notatki.

† **Dr. Emil Hacker** zginął wraz z dziesięciu towarzyszami, zasypany lawiną, jako przewodnik zbiorowej wycieczki na Schneeberg, w dniu 25. marca b. r. Zmarły był jednym z najbardziej wybitnych i znanych alpinistów niemieckich, a działalność jego rozciągała się nietylko na Alpy Wschodnie i Zachodnie, zwiedził bowiem także pasma Czarnogóry (samotnie), niektóre okolice Kaukazu i Spitzbergu. W r. 1896 odbył bez przewodnika wycieczkę w Tatrach i wyszedł 11. lipca jako jeden z pierwszych na Staroleśną — przyczem był pierwszym na jej południowym wierzchołku — tudzież zwiedził Durny. W ostatnich czasach poświęcił się gorliwie szerzeniu narciarstwa, organi-

zując zbiorowe wycieczki, z których jedna przyniosła mu skon w sile wieku.

Bezpośrednią przyczyną katastrofy była burza śnieżna, wśród której zjeżdżając, uczestnicy wycieczki załamali nawis i zostali, przez powstałą w ten sposób przy niekorzystnych warunkach śniegowych — na bezpiecznym zresztą stoku — lawinę, zasypani. Głębszą przyczyną katastrofy jest — jak przyznaje prasa alpinistyczna jednogłośnie — zwyczaj wypędzania na trudniejsze — i przy niekorzystnych okolicznościach niebezpieczne, wyprawy przy sposobności t. zw. wycieczek zbiorowych, tłumów ludzi bez żadnego wyboru i kontroli ich turystycznego uzdolnienia i doświadczenia. Straszna ta katastrofa powinna być groźnem memento dla towarzystw uprawiających tego rodzaju działalność.

Nasza ilustracya przedstawia północną ścianę Małego Jaworowego, zdjętą z górnego piętra Jaworowej Doliny. Na lewo widać ściany Jaworowego i żleb spadający z pod Rozdziela, na prawo od wierzchołka M. Jaworowego — Grań Jaworowych Turni. Szczegóły samej ściany oznaczyć można przy pomocy umieszczonej w tekście fotografii i dodanych do niej objaśnień.

Z piśmiennictwa.

Zimowe wycieczki do miejsc sportowych. Pod tym tytułem podaje krakowska Dyrekcya c. k. kolei państw. w sezonie zimowym ogłoszenia w dziennikach z wykazem miejscowości, nadających się do sportu saneczkowego i narciarskiego, oraz z rozkładem ruchu pociągów. Czyn to bardzo chwalebny, przyczyniający się bez wątpienia do podniesienia pożądanego ruchu turystycznego, godzien i nadal dalszego ciągu. By jednak informacye te miały turystom przynieść korzyść, należałoby w przyszłości usunąć obecne usterki, zwłaszcza w podawaniu terenów narciarskich w Karpatach, które są bezpieczniejsze i z powodu łagodnych spadków wygodniejsze dla narciarstwa, niż skaliste turnie tatrzańskie. Usterki te można wytłumaczyć poniekąd smutnym faktem, że przewodnika po Karpatach, na którymby można się oprzeć, wcale nie mamy. Mylne te informacye polegają na tem, że od podanych stacyi szczyty wymienione leżą za daleko, albo też do jazdy na nartach się nie nadają. I tak podano np., że z Żywca można na nartach wybrać się na Kikulę, gdy tymczasem góra ta od wymienionego miasta jest o kilka mil oddalona; stoi ona w zapadłym kącie za wsią Rycerki, od stacyi Raycza lub Sól przeszło o milę odsunięta, jest nizka, bez widoku, cała gęstym lasem zarosła; turysta, któryby się tam udał z nartami, doznałby najzupełniejszego rozczarowania. Na Górę Baranią lepiej dla turysty wybrać się z Węgierskiej Górki, aniżeli z Milówki, stąd trzeba odbyć pieszą lub wozową wędrówkę za Kamesznicę. Jako wycieczkę ze Soli wskazano górę „Rącza“, używając nazwy błędnej zamiast Wielka Racza. Jest to szczyt najwyższy w okolicy i stosowny dla narciarza, jednak od Soli znów zbyt oddalony, bo o dwie mile drogi wozowej. Chcąc tam się dostać grzbietem wierchów, nierównie lepiej przedsięwziąć tę długą, może za długą na dzień zimowy wycieczkę, ze Zwardonia, znacznie wyżej położonego. — W okolicy Soli i Rayczy są inne góry, całkiem blizko położone, a bardzo dobrze do narciarstwa się nadające.

Również niedogodną dla narciarzy jest stacya Chabówka. Dlaczegóż stąd wybierać się na Wielki Luboń, czyli Biernatkę, skoro u samych stóp tej góry leży stacya Zaryte? Na Obidową i Turbacz (nie Niedźwiedź) z innych stacyi bliższe i lepsze prowadzą drogi, aniżeli z Chabówki.

Wskazane więc tereny dla narciarzy mają wiele niedogodności, zaś pominięto stacye kolei, które przedstawiają dla nich o wiele dogodniejsze warunki.

K. Sosnowski.

DRUKARNIA W. A. SZYJKOWSKIEGO